

Warszawa dnia 4 Stycznia 1865 roku.

Nr 1. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW.

Ludzie pracy i myśli idą do was, niosąc pokarm dla duszy; praca wzmocniła ich siły, myśl wskazała drogę, z której nie zejdą, chociaż może z początku



Matka Boska milczenia. — (str. 2). — (Kopja z obrazu Caracci).

obojętność spotkają. Przekonanie wsparte na miłości nie łatwo się łamie, przeciwnie każda zapora dodaje mu hartu; nieufność powiększy chwile czuwania, lecz nie podkopie wytrwałości, do jakiéj obowiązek obywatelski nas powołuje. Nie dziwcie się czytelnicy, że w tem pierwszem przemówieniu do was, tak wyraźnie i z góry mówimy o obojętności, jakiéj z waszéj strony doznać możemy — spojrzyjcie do koła siebie, a przyznacie nam słuszność. Nauka w ogólnem znaczeniu nie jest naszą własnością; czujemy jéj potrzebę najwięcéj o tyle tylko, o ile w życiu praktycznem zużytkować ją możemy; nauka zaś jako siła naszéj osobistości, bez względu na zyski i straty materjalne, nauka na zapas, że tak powiemy, jest nam prawie obcą. Ogół społeczeństwa za mało się brata z tą garstką ludzi, którzy umysłowéj pracy poświęcili swe życie; książka u nas jest zbytkiem, czytanie zabiciem nudnéj godziny; pisma nasze perjodyczne, wydawnictwo księgarskie, są tego smutnym a dotykalnym dowodem, wtenczas, kiedy np. nie sięgając daléj, w sąsiednich i pobratymczych

nam Czechach, książka jest w ręku każdego niemal wieśniaka. Da Bóg, może się kiedyś zrównamy z niemi.

Tak dobrze znając pole, na które wstępujemy, nie chcemy się łudzić zbyt wielkim plonem, po pierwszym zasiewie; wiemy, że orząc zagony, lemiesz nasz nie raz wyszczerbić się może, jednak żelaza nam nigdy nie zbraknie na nowe ostrze, które skorupę ziemi przedrze, kamień rozkruszy i z głębi wydobędzie najurodzajniejszą warstwę.

My więc dajemy wam wszystko to co mamy najlepszego w sobie, od was żądamy w zamian dobréj woli, opartéj na wierze, zrodzonéj z tego co czytać będziecie. *Opiekun Domowy* nie zdradzi nigdy gościnności, jakiéj mu udzielicie przy swojem rodzinnem ognisku; chce on być waszym przyjacielem, doradcą, chce być uczestnikiem waszego wesela, chce nieść pociechę, gdy smutne losy uśmiech zagaszą na ustach, a głowę pochylą ku ziemi.

Pogodzić was z ludźmi, nauczyć jak sobie radzić w codziennych kłopotach życia, rozjaśnić wam tajniki natury, oswoić was z myślą, że koniecznie, krwawo nie raz trzeba pracować na chleb powszedni, że w największéj niedoli nie godzi się odwracać oczów od Nieba; rozerwać was, gdy tęsknota lub wytężona uwaga znuży siły wasze, uleczyć gdy niepokój i zwątpienie ogarnie duszę, przekonać was, że żadna praca nie krzywdzi, że obywatelstwo od was samych zależy, że nienawiść wszystko niszczy, a miłość cały świat odradza—oto nasze zadanie, oto hasło naszego trudu.

Nie mówimy przez to, że *Opiekun Domowy* wystarczy wszystkim waszym potrzebom umysłu i serca; nie—będzie to tylko jeden więcéj pracownik na polu słowa, będzie to jeden głos więcéj w sprawie oświaty podniesiony. Nie żądamy, żebyście dla nas opuszczali dawnych swych, a zasłużonych kierowników, bądźcie z niemi, a od nas nie strońcie.

Oświecać ubogich i bogatych, nauczać w chacie i w salonie, to nasze powołanie; nie przywdziewając szat tajemniczych, będziemy wszędzie jaśni, zrozumiali, a więc dostępni dla wszystkich—żadna miłość własna, żaden poklask, nie zdoła nas odwrócić od wytkniętego kierunku; raz obrany, z mocą i godnością będzie broniony do końca.

Praca nasza trudna z pozoru, jednak będzie łatwą, bo z dobréj woli podjęta, bo na niewzruszonéj prawdzie oparta. Tu koniec zacieśnia się z początkiem w nierozerwany węzeł—dziś rozpoczynamy siew, kiedyś zrachujemy plon.

Po raz pierwszy pukamy do drzwi waszych, otwórzcie je, przyjmcie nas w gościnę, a potem osądźcie, czy biesiada rodzinna na nowym gościu straciła?

Oby odpowiedź wasza była dla nas zachętą.

MATKA BOSKA MILCZENIA [1]).

Dzieciątko śpi... cichy gołąbek,
Utulił się przy ramieniu,
Zostawił Matkę w milczeniu;
Główkę opuścił na rąbek.
Milczmyż, czekajmy snu końca,
Bo sen Mu oczek nie strudzi;
Bo gdy się zbudzi,
Spojrzy nam jaśniéj od słońca.

Dzieciątko śpi... trwaj luba chwilko;
Chociaż Go Niebo uśpiło,
Jemu u Matki tak miło,
Jak gdyby dla Niéj śnił tylko!
Milczmyż, niech dziecku Wielkiemu
Złagodzi sen wzrok pamięci,
Niech Go nie nęci
Gwiazda z ponad Betleemu...

Dzieciątko śpi... chór Serafinów
Strzeże Świętego oddechu,
A Ono śliczne, w uśmiechu;
Śpi jak najcichszy ze synów.
Milczmyż, niech Matki starania
Zastąpią Niebieskie straże,
Nim się ukaże
Straszliwy blask powołania!..

Dzieciątko śpi... nad skronią błyska
Jasność—wybranych korona;
Ach! serce drży... radość mi kona,
Boleść łzy z oczu wyciska...
Milczmyż, czekajmy snu końca,
Bo sen Mu oczek nie strudzi,
Bo gdy się zbudzi,
Zaćmi i gwiazdy i słońca.......

[1]) Podług oryginału Hannibala *Caracci* włoskiego malarza, urodzonego w r. 1560, a zmarłego w 1609 r. wykonany jest podany na pierwszéj stronnicy wizerunek *Matki Boskiéj milczenia*. Przedstawiona jest na tym obrazie Matka Boska podtrzymująca uśpione dziecię Chrystusa jedną ręką, a drugą ręką nakazująca milczenie młodemu Janowi, który do śpiącego dziecięcia zbliża się chcąc Go obudzić.

Doktór Karol Marcinkowski.

Urodzony w Poznaniu w 1800 roku, stracił ojca w młodych latach, i całe pierwiastkowe wychowanie winien swéj matce. Ona, żelaznéj woli kobieta, uboga a obarczona pięciorgiem drobnych dziatek, nie upadła w sieroctwie, lecz w sercu mając niewyczerpane zasoby miłości, wytrwania i poświęcenia, natężoną pracą zdołała zarobić na wychowanie swych dzieci, a wzniosłym przykładem wzmocnić ducha silną *wolą*, i zaprawić do ciągłéj *pracy*. Temi też przymiotami szczególniéj odznaczał się Marcinkowski, i niemi to zdobył sobie miłość i wdzięczną pamięć u ludzi. Ogromna zdolność do nauk i namowy Kaulfusa, dyrektora szkół w Poznaniu, skłoniły Marcinkowskiego do oddania się zawodowi lekarskiemu, do którego się sposobił, uczęszczając do uniwersytetów hejdelbergskiego i berlińskiego i w tym ostatnim w r. 1823 otrzymał stopień doktora medycyny i chirurgji. Pełen wiedzy, z sercem tchnącém miłością bliźnich i kraju, przybył Marcinkowski do swego rodzinnego miasta, i jako lekarz niosąc ulgę w cierpieniach do zapadłych chat i pysznych pałaców, rozpoczął żywot chwały i zasługi.

Po roku 1831 z kolei przebywał w Szkocji, Anglji i Francji. W Paryżu w roku 1833 odznaczony został przez królewską akademię medalem złotym, wartości 1000 złp., za udzielenie wiadomości tyczących się leczenia cholery. Medal ten sprzedał, a pieniądze rozdał potrzebującym wsparcia rodakom. Po kilkuletniéj wędrówce, ciągniony do kraju wrodzoną nam tęsknotą, wzywany głosem współbraci, przybył znowu do Poznania, i niezmordowane zabiegi nad szczęściem bliźniego rozpoczął. Wiara w jego umiejętność lekarską tak była wielka, iż kiedy w Poznaniu wybuchła cholera, samo przybycie

jego zmieniało rozpacz w nadzieję, a ta czyniła ratunek łatwiejszym, i sama zaraza przed energicznemi środkami Marcinkowskiego ustąpiła niebawem. Marcinkowski wydzierał śmierci ofiary, bo wierzył w siłę swéj woli; lud poznański zapanował nad cholerą, bo uwierzył w siłę zdolności i woli Marcinkowskiego.

Ale działalność Marcinkowskiego nie mogła poprzestać wyłącznie na pracach lekarskich, zkądinąd zresztą tak mozolnych i wyczerpujących. W jego sercu zawiele gorzało ognia miłości, aby ten pojedynczemi tylko wybłyskiwał promieniami; szerszego potrzebował przestworu. Urodzony i wychowany wśród gwaru miejskiego, z rodzaju swego zatrudnienia zespolony z nędzą miast, zrozumiał, że obok licznéj i bogatéj rzeszy wieśniaków, stanąć powinny zastępy miejskiéj ludności, licznéj i możnéj. Myśl u Marcinkowskiego musiała stanąć się czynem. Więc najprzód ze składek obywatelskich w r. 1841 założył w Poznaniu tak nazwany *Bazar*, to jest gmach, w którym sami rzemieślnicy polscy wyroby swoje przedstawiać mieli, nielękając się współzawodnictwa obcych. W Bazarze Marcinkowski chciał ułatwić rzemieślnikom sprzedaż wyrobu, a tem samem zachęcić do dalszéj pracy i nauki. Ale to jeszcze było mało; nie tak trudro wymurować Bazar na towary, lecz żeby napełnić takowy towarami należytéj dobroci i niedrogiemi, potrzeba stworzyć człowieka, stworzyć robotnika, któryby ów towar wyrobił. Stworzyć człowieka tylko Bóg może, ale wyrobić zdolność w człowieku, to pracy i nauki udziałem. Marcinkowski wiedział, że ludność pracy się nieulęknie, ale i to wiedział, że dla braku nauki praca jest małoznaczącą, ochota nie na wiele przydatna. Postanowił zatem rozszerzyć naukę, i w tym to celu założył Towarzystwo naukowéj pomocy, które po dziś dzień istnieje. Zadaniem Towarzystwa, wyszukiwać zdolną a ubogą młodzież z pomiędzy mieszkańców miast i wsi, i téj młodzieży dawać stosowną pomoc, dla rozwinięcia w nich nauki i przygotowania dla kraju zdolnych i użytecznych przemysłowców. Wspominamy na ten raz o dwóch tylko bardziéj wydatnych czynach Marcinkowskiego, ale nie mamy zamiaru opisywać ich tu wszystkich. Wykazaliśmy dwie strony jego życia, jako lekarza i jako wspierającego przemysł krajowy. O innych powiemy późniéj, powiemy nieraz jeszcze, bo żywot Marcinkowskiego, czy to jako z własnéj pracy utrzymującego się ucznia, czy jako współtowarzysza szkolnego, doktora, chirurga, czy też jako obywatela — zawsze służyć może za wzór dla każdego człowieka, który uzacniony silną wolą i miłością powszechną, pragnie tylko dobrze swym braciom czynić, a przez to godnie odpowiedzieć swemu wzniosłemu przeznaczeniu. Nie każdego Pan Bóg powołał do wielkich czynów, ale każdy powinien podług sił swoich przyczyniać się do dobra ogólnego, do dobra zresztą téj sfery, to jest tego kółka, chociażby tylko rodzinnego, w którem się obraca. Nikt niemoże się wymawiać, że nie ma zasobów i że nie ma stanowiska. Kto chęć ma niezłomną, ten tak jak Marcinkowski, znajdzie odpowiednie zasoby — stanowisko sam sobie wyrobi, a zawsze Bogu i bliźnim dobrze się zasłuży.

Żal jednak, że Marcinkowski żył za krótko. Nieustanna praca, serce czujące każdy ból dotkliwie— wszystko to podkopywało coraz bardziéj zdrowie Marcinkowskiego, aż dostał piersiowéj choroby, i wyjechawszy na wieś do przyjaciela do Dąbrówki Ludomskiéj, umarł tamże dnia 7 listopada 1846 r.

Pogrzeb Marcinkowskiego wykazał, jak był przez lud ukochany. Opis tego pogrzebu a może i widok, damy w późniejszym czasie, dla saméj nauki, że prawdziwa zasługa, tu jeszcze na ziemi znajduje uznanie.

OBRAZEK.

W jedną zimową niedzielę, pan Sikorski majster krawiecki zapowiedział chłopcom i czeladzi, że jeżeli chcą kilka godzin na uczciwéj zabawie przepędzić, niech po nieszporach zaraz wracają do domu, a pokaże im piękne obrazki i przeczyta ciekawą historję. Pan Sikorski był majster uczciwy, dbał o swoich podwładnych jak ojciec o własne dzieci, zachęcał do pracy, karcił pijaństwo i wszelką niemoralność, a własnem postępowaniem pobożnem, uczciwem—dawał najlepszy przykład; wtenczas też, kiedy inni majstrowie skarżyli się na niesforność chłopców i czeladzi, on był zadowolony ze wszystkich, miał zawsze robotę, nie chodził do policji ze skargą, bo sam w domu wszystkie spory po ojcowsku załatwiał. Jeden tylko czeladnik, imieniem Tomasz, (nazwiska nie wymieniam, bo nie chcę panu Tomaszowi robić tak jawnego wstydu), nie był w prowadzeniu się podobnym do innych kolegów; pracował wprawdzie dobrze, robota u niego nigdy nie zalegała, ale był jakiś wyniosły dla innych; chłopców za lada co bił w łeb, kopał nogami, czeladzi nie dał dobrego słowa a nawet z pana majstra wyśmiewał się za oczy, mówiąc że majster tego niema w głowie co on ma w pięcie. Pan Sikorski najprzód łagodnością, perswazją, potem surowszem nieco postępowaniem, chciał Tomaszowi wypędzić muchy z nosa, lecz zrobił tylko tyle, że Tomasz już chłopców nie bił, z czeladzią jednak w żadne rozmowy się nie wdawał, uważając ich za głupszych od siebie. Innego p. Sikorski już dawnoby wydalił ze swego warsztatu, lecz Tomasza znosił, bo widział w nim serce dobre, charakter uczciwy, chęć do pracy, tylko zarozumiałość o wysokim rozumie szkodziła czeladnikowi w opinji kolegów, a majster był przekonany, że z czasem i tę przywarę z niego wykorzeni i przekona, że nic nie umie, chociaż tak wysoko nos zadziera. I rzeczywiście Tomasz był dobry chłopak tylko popsuł go warsztat pana Szulca, w którym lat dwa pracował. Pan Szul, chociaż niemiec z urodzenia, ale umiał się przywiązać do naszéj ziemi, która mu chleb dała, kochał swoję pierwotną ojczyznę, ale i dla Polski miał serce, i chętnie przyjmował do swego warsztatu czeladź polską, nie robiąc żadnych szczególnych łask dla niemców. Na nieszczęście, wtenczas kiedy Tomasz był u p. Szulca, wstąpił z nim razem czeladnik Wojciech, zdatny ale pijak, wędrownik po całym prawie świecie, ale głupi, bo dużo widział, dużo słyszał, a nad niczem się należycie nie zastanowił. Otoż ten czeladnik potrafił opanować naszego Tomasza, zaprzyjaźnił się z nim serdecznie i tak obałamucił, że Tomasz bez niego nic nie zrobił, nic nie pomyślał, nic nie przedsięwziął. Wojciech był zły człowiek, nie kochał nikogo, nie miał żadnéj religji, kpił sobie ze wszystkich ludzi, a najbardziéj z tych, którzy mu dawali najwięcéj zarobku; nic więc dziwnego, że wyśmiewał krawców warszawskich, że mówił o nich jak o niedołęgach, że przeklinał wszystko, co tylko by-

ło uczciwe, skromne a nie pijackie. Tomasz słuchał go ciągle i we wszystkiem mu wierzył; tak sobie nabił głowę historjami Wojciecha, tak się dziwował wszystkiemu co ten plótł o zagranicznych krawcach, że w końcu naprawdę zaczął wierzyć, że w Warszawie tylko dwóch jest mądrych w zawodzie krawieckim, to jest Wojciech i on. Ma się rozumieć, że książki, chociaż umiał czytać, nigdy nie wziął do ręki, bo Wojciech wmówił w niego, że w książkach niema nic mądrego, że lepiéj pić i po katarynce tańcować niż czytać Kmiotka, Czytelnię Niedzielną i inne książki, jakie Towarzystwo Dobroczynności wypożycza porządnéj czeladzi. Z tą wielką mądrością tak się rozhultaili, że pan Szulc musiał obydwóch wypędzić od siebie. Po niejakim czasie Tomasza przyjął pan Sikorski, a Wojciech wycierał się po różnych kątach, zarabiając z dnia na dzień, bo nigdzie stałego miejsca nie mógł znaleźć. Jednak tak jakoś umiał Tomasza trzymać przy sobie, tak potrafił ciągle go bałamucić po bawarjach, że ten i teraz jeszcze pomiatał wszystkimi, wierząc ciągle, że wszyscy osły, a oni dwaj tylko rozumni.

Nic więc dziwnego że po nieszporach, jak był zapowiedział pan Sikorski, wszyscy chłopcy i czeladź wrócili do domu a Tomasz nie przyszedł. Pan majster usiadł przy warsztatowym stole, rodzina i podwładni otoczyli go z obu stron, a po chwili rozpoczął czytanie o tem, jak w największem nieszczęściu nie trzeba tracić nadziei, bo Bóg prędzéj czy późniéj sprawiedliwość wymierzy, złych ukarze a dobrych nagrodzi; książeczka, z któréj czytał pan Sikorski, była z obrazkami, co zaraz w rysunku przedstawiały to samo co poprzednio literami było napisane. Obrazki te majster pokazywał wszystkim po kolei, a każdy lepiéj zaraz zrozumiał to co słyszał, każdy się roześmiał lub westchnął, stosownie do tego, jak obrazek przedstawiał zabawną albo smutną scenę.

— Jaka szkoda, że Tomasza nie ma między nami; odezwał się któryś z czeladzi.

— Ba, ma być między nami, kiedy on u panny Walkiewicz; poszedł dziś z prezentem, odezwał się drugi.

— Z prezentem? zapytał majster.

— A tak, panie majstrze, on się zaleca pannie Walkiewicz, myśli się z nią żenić, i przed dwoma niedzielami pytał mi się jaki prezent ma jéj zrobić.

— I cóżeś poradził? zapytali wszyscy.

— Poradziłem, żeby kupił książkę piękną do nabożeństwa, albo z jaką moralną historją, podobną do téj nie przymierzając, co to nam czytał pan majster zeszłego lata.

— I usłuchał cię.

— Ale gdzie tam; powiedział, że Wojciech ma mu poradzić, i że kupi dla panny jakiś piękny obraz, jakiego nikt jeszcze w Warszawie nie widział; a jakiem na niego napierał, żeby na prezent kupił książkę z obrazkami, roześmiał mi się w oczy i powiedział, że takie książki lada kto mieć może, a on chce cóś nowego kupić.

— Głupi on jest, rzekł majster, panna Walkiewicz żartuje z niego; to poczciwa i rozsądna dziewczyna, sam ją widziałem jak niosła dla siebie książki do czytania; ona by poszła za Tomasza, nigdy; każdy z nas słuchałby ją kilka godzin, tak umie i mówić i pięknie wszystko przedstawić.

Zaledwie skończył pan Sikorski, gdy drzwi z łoskotem się otworzyły i wszedł Tomasz. Ze złością rzucił czapkę na ziemię, usiadł na stołku zaraz przy drzwiach i nic nie mówił.

— Co ci jest Tomaszu? łagodnie zapytał majster.

— Co mi jest, wyśmiała, wyszydziła—i piętnaście złotych jakbym w błoto wrzucił!

— Kto wyśmiał?

— A któż jak nie ta Walkiewiczanka, patrzcie co jéj kupiłem, a ona powiedziała żem ja głupi, zawołał zdesperowany Tomasz, wyjął z kieszeni zwinięty arkusz papieru i oddał go majstrowi.

Majster arkusz rozłożył, wyprostował i wszyscy z ciekawością zaczęli się przypatrywać obrazkowi, który był wymalowany na arkuszu i tak drogo kosztował. Niedługo majster, rodzina cała i czeladź zaczęli się śmiać serdecznie.

— Czego się śmiejecie panie majstrze, czego wy wyszczerzacie zęby, krzyknął Tomasz i zerwał się z miejsca.

— Ależ bój się Boga— rzekł majster, jakieś mógł takie głupstwa dawać pannie Walkiewicz. A wiesz ty co to tu jest.



Karol Marcinkowski.—(str. 3).
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Regulski).

— A cóż, ludzie co za morzem mieszkają. Wojciech mówił mi, że to ludzie najmądrzejsi z całego świata, to też do nas nic niepodobni; powiedział że ten obrazek przywiózł z *Ameryki*, że nikomuby go za nic w świecie nie oddał, tylko dla mojéj przyjaźni odstępuje za piętnaście złotych.

— I tyś to wszystko powiedział pannie Walkiewicz.

— A jakże nie, wszystko; masz pani ludzi jakim my nie warci butów czyścić, tacy oni rozumni—powiedziałem, a ona w śmiech i kpiny.

— Musiała kpić, boć to małpy a nie ludzie; namalowali je we frakach ze złotemi galonami, to zdają się podobne do ludzi — ale to tylko małpy.

— Ha to już prawda, bo i panna Walkiewicz powiedziała że to małpy—a hultaj Wojtek, dajcie mi go tu. Mój wstyd, moje piętnaście złotych! wołał rozwścieczony.

— Żebyś był słuchał naszych czytań, żebyś przypatrywał się naszym obrazkom, podobałbyś się pan-

nie i nie uwierzył oszustowi; młodzi twoi koledzy, moje dzieci nawet niedałyby się tak złapać na wędkę; umieją odróżnić zwierzęta od ludzi; te małpy kosztują najwięcéj dwadzieścia groszy, a on ukradł ci 15 złotych; za tę summę miałbyś na cały rok czytania.

— I pannę straciłem!

— Nie straciłeś, ale zerwij z Wojciechem; nie wierz w jego bajania, bo wszystko łże; weź się do książek, słuchaj kiedy ja czytam, a zobaczysz że i rozumu nabierzesz i pannie się spodobasz. Tak mówił majster, a upokorzony Tomasz pocałował go w rękę, usiadł przy stole i przyrzekł już żadnego czytania nie opuszczać.

Czy Tomasz dotrzymał słowa, to wam późniéj kochani czytelnicy doniosę.



....Potrafił ciągle go bałamucić po bawarjach,—(str. 4, szp. 1).
(Rysował Pillati — wycięto w drzeworytni Stifiego i Regulskiego).

O ZIMNICY.

Najpospolitszą chorobą jest zimnica, nazywana w niektórych okolicach *ograżką*, *febrą*, a żydzi nazywają ją *geduches*. Choroba ta bardzo męczy, i jak się raz w człowieku zagnieździ, to jeżeli się jéj zaraz nie zaradzi, może się ciągnąć przez rok cały, a nawet i dłużéj. Przez cały ten czas tak wyniszczy chorego, że na nim zostaną skóra i kości, cała twarz zżółknie, tylko brzuch narośnie, czasami wygląda jak bęben, a po obu bokach, ciągle siedzi ból, bo z prawéj strony twardnieje wątroba, a z lewéj narośnie śledziona, i dla tego tak bolą, że nie dadzą ani spać uczciwie, ani chodzić, ani siedzić. Oj! biedny ten człowiek, którego zmogła ta choroba.



.....Majster arkusz rozłożył, wyprostował...—(str. 4, szp. 2).
(Rysował Pillati—wyciął na drzewie Stifi).

Zimnica nie wybiera: czy dzieci, czy starzy, czy mężczyźni, czy niewiasty, czy bogaci, czy ubodzy, wszystko dla niéj jedno. Najczęściéj nawiedza ona ludzi na wiosnę zaraz z zimy, i na jesieni, w zimie zaś i w upały mało o niéj gdzie słychać. Przyczyna tego jest taka.

Jak u nas, tak i na całym świecie, są góry, doliny, lasy, łąki, błota, stawy, rzeki i t. d. Wszędzie jest powietrze, bo bez niego żadne bozkie stworzenie żyćby nie mogło. Póty człowiek jest zdrów, póki może oddychać zdrowem i czystem powietrzem, ale jeżeli powietrze się zepsuje, to tak dobrze człowiek jak i wszelakie zwierzęta chorują i wymierają, bo wdychając w siebie złe nieczyste powietrze, zatruwamy w sobie krew, i ztąd powstają rozmaite choroby. Otóż, zimnica jest chorobą z otrucia krwi, przez zatrute powietrze, a dzieje się to tym sposobem:

Powietrza nie widzi się, bo jest zbyt przezroczyste i lekkie, nie ma przytem żadnego koloru, bo gdyby go miało, toby się je widziało gołem okiem, jak widzi się rosę, śnieg lub trawę, dla tego też, że powietrze jest czyste, to się go wcale nie czuje, a jak się tylko gdzie czuje, znać, że tam powietrze jest nieczyste; a gdy się je widzi, znaczy, że jest mgła, to jest, że w powietrzu zawiesiła się woda czyli wilgoć, z tego ta jest nauka, że powietrze musi być jak najcieńsza pajęczyna, tylko wcale niewidzialna dla naszego oka, bo w niéj jak w pajęczynie mogą zawieszać się mgły, zapachy lub smrody. Skoro więc tyle rzeczy może utrzymać się w powietrzu, to i wszystko, co jest jeszcze lżejsze od niego, także może się w niém utrzymać; otóż te inne rzeczy nazywają się *wyziewami*.

Wyziewy są bardzo rozmaite, ale te co zatruwają krew i zaraz sprowadzają choroby, są dwojakie: jedne tworzą się ze zgniłych roślin, drugie ze zgniłych ciał wszystkich zwierząt. A że najwięcéj roślin gnije w wodzie i w błotach, a zwierzęta zaś wszędzie zdychają i gniją, złe więc wyziewy znajdować się mogą wszędzie, gdzie są wody stojące, błota, oparzeliska, i gdzie żyją ludzie i zwierzęta. Pierwsze wyziewy nazywają się roślinnemi, a dru-

gie zwierzęcemi. Ale dla utworzenia wyziewów, nie dosyć ciał martwych roślin i zwierząt, trzeba koniecznie do tego wody i ciepła.

Dla roślin co rosną, umierają, gniją i znowu z korzenia się odradzają w wodzie, mają jéj do syta, a potrzebują tylko ciepła, a że słońce rozgrzewa powietrze, więc też zaraz po zimie, kiedy słonko wiośniane wyżéj już świeci ziemi, a zatem i lepiéj ją ogrzewa, wtedy przez całą zimę, gnijące w wodach i błotach rośliny, a już na zawsze umarłe, poczynają pod ciepłem słonecznem niknąć, to jest, przemieniać się w niewidzialną dla oka ludzkiego złą parę, i para ta czyli gaz, wsiąka w powietrze jak w pajęczynę, a że powietrzem na każdem oddychamy miejscu, zatem gdzie kto takiego zatrutego powietrza nałyka się, ten dostaje téj choroby, która nazywa się *zimnicą*. Często zdala od ludzi, z oparzelisk, z bagien i innych miejsc, gdzie są płytkie wody stojące, wiatr sprowadza takie złe powietrze na ludzi. Ku latu, kiedy już wszystkie rośliny odmłodziły się, rosną one, kwitną czyli żyją, a nic nie umierają i nie gniją, dla tego niéma tych roślinnych wyziewów i niéma też zimnicy; ale w jesieni, kiedy już wszystkie rośliny przekwitły i wydały nasiona, wiele z nich umiera i zaraz gnije, a że jeszcze jest dobre ciepło, dla tego w jesieni tak jak na wiosnę, zmarłe i zgniłe szczątki roślin, przemieniają się w złą parę i wsiąkają w powietrze. W zimie zaś, jeżeli jest mroźna, to tego wszystkiego niéma, i dla tego nie bywa u nas zimnicy. Wyziewy zwierzęce inną tworzą chorobę, o któréj kiedy indziéj pogadamy.

Oznaki: Skoro kto zaraził się złem powietrzem, co krew truje i sprowadza zimnicę, to ona najczęściéj nie zaraz się objawia, bo potrzebuje czasu, żeby w całym rozsiadła się człowieku, a nawet w saméj zakręciła głowie, a tam jest mózg, co rządzi całą istotą ludzką, jak gospodarz całą swoją chudobą. Więc zrazu człowiek jakoś niedomaga, to mu jest źle, to znowu dobrze, to go mgli czasami, że nawet wymiotuje, a samą gorycz i słoność; potem coś go przechodzi po kościach, że sam nie wie co mu jest, aż też zaczyna go trząść, że aż kłapie zębami, a tak mu zimno, że radby wleźć w piec gorący, ale naprożno! bo nic go nie ogrzeje, a zaraz też okropny ból włazi do krzyża, do kolan, że człek sobie od tego wszystkiego rady dać nie może. Leży też chory i skurczony jak niebożątko, z kolanami pod brodą, tuląc się do poduszki, do pierzyny, a nic nie mówiąc, tylko trzęsąc się i jęcząc, czasami tylko potrzeba iść z wodą, to też prawda, że mocz taki jest blady jak najczyściejsza woda. Tak mu jest źle bez mała całą godzinę, albo i więcéj, ale potem dzieje się jeszcze gorzéj, bo zaraz następuje druga przemiana, z zimna na gorąco, że znowu trudno wytrzymać; wtedy chory wszystko czem był odziany zrzuca z siebie i woła pić, byle czego zimnego. Leży biedak rozpalony jak węgiel, w ustach ma sucho, głowa pali, nogi i ręce od siebie leżą daleko, bo każde z osobna jak żar, a całe ciało po tak wielkiem zimnie co przeminęło, jest osłabłe i obolałe; mocz czerwony i cały człowiek dysze w największéj gorączce, któréj nie ochłodzi żadna choćby najzimniejsza woda. W takim stanie męczą się ludzie godzinę, a czasami dwie i jeszcze dłużéj. Dopiero *trzecia* następuje przemiana, a ta już najgorsza, ale za to ostatnia; z wielkiego gorąca następują poty, ale to takie, że każdemu choremu zdaje się, że albo przemieni się w wodę albo, że w niéj cały leży. Wtedy cierpi jak na Madejowém łożu, nic nie żąda, tylko w duchu prosi Boga, żeby się nie rozpłynął, żeby to złe zaraz się skończyło, i Bóg też daje, że w godzinę lub dłużéj osycha sam przez się i naraz zdrów się zdaje jak ryba. Idzie z moczem, a ten ustawszy się, gęsty jest jak żur. Wszystko się już skończyło, człowiek radby jeść, ale mu nic nie dają. To co się dzieje w tych *trzech przemianach* zimnicy, jest najzwyczajniejsze, dla tego nazywają ją doktorzy, zimnicą regularną czyli powszednią. Gdyby się na tem jednem cierpieniu miało już skończyć, toby bardzo było dobrze, ale gdzie tam! ta choroba tak jest niegodziwa, że najczęściéj powraca sobie na trzeci dzień, i to prawie o téj saméj godzinie, jeszcze jakby kto ją zamówił i na nią czekał. Wszystkie te cierpienia razem nazywają się *paroksyzmem*.

Z opisania téj choroby widzi się, że ona jest bardzo dziwną; ale zimnica zjawia się często w innym jeszcze porządku, to jest, nie powtarza się regularnie co trzeci dzień, ale co czwarty, albo co drugi albo codziennie, i dla tego nazywają ją *trzeciaczką, czwartaczką, dwojaczką* i niby *jedynaczką* czyli *codzienną*. Zdarza się także, że wraca się co tydzień a nawet raz w miesiąc. Ci co dobrze znają się na téj chorobie, to widzieli że zimnica co wraca późniéj jak trzeciego dnia, jest najgorsza; bo wszystkie cierpienia nadzwyczajnie są silne, a te paroksyzmy co przypadają co drugi dzień lub codziennie są najsłabsze. U wielu ludzi tak sobie zimnica upodoba, że bywa dwa razy na dzień, w taki sposób, że jak się wszystko skończy, to się zaraz tego samego dnia na nowo rozpoczyna, dla tego nazywa się *podwójną*, a może być podwójną *trzeciaczką, czwartaczką*, stosownie którego dnia chorego napastuje. Bywa też w niéj i ta osobliwość, że trzy zwyczajne przemiany, zimna, gorąca i potów nie zawsze się okazują, że tylko samo jest zimno i gorąco, albo gorąco i poty, albo ciągłe przez cały paroksyzm przechodzą dreszcze, ziewanie i przeciąganie. Wszystkie te różności dobrze znać potrzeba, żeby się nie omylić, i nie wziąść zimnicy za jaką inną chorobę, boby się nie wiedziało jakiego trzeba dać leku. Jeszcze nie wszystko. Zimnica bywa tak złośliwą i gwałtowną chorobą, że wkrótkim czasie może zabić chorego; zimnice téj natury nazywają się *zgubnemi*. Objawiają się one w ludziach rozmaicie, albo przez samo niezmierne zimno, albo też przez nadzwyczajne tylko poty, albo pod rozmaitą postacią, jak np. ciągłego snu i nazywają się wtedy *zimnicą letargową*, albo przez cały paroksyzm trwa ciągła *nieprzytomność* i *majaczenie*; albo na raz zjawiają się konwulsje rozmaitego rodzaju, jakby choroba św. Walentego, albo *katalepsys*, co człowiek na raz staje się nieporuszalnym, a jak mu się np. rękę podniesie to tak zostanie a nie spadnie, bo chory żadnéj w téj chorobie nie ma ani woli ani władzy; konwulsyjne drgawki w całem ciele zwykle pokazują się u dzieci, i w takiéj postaci zimnica, nie jest śmiertelną. Niekiedy widziano także zimnicę, w któréj zjawiał się częściowy paraliż ciała, a nawet i taką, w któréj człowiek był jak wściekły i miał wstręt do wszelkich napojów. We wszystkich tych razach, niebezpieczeństwo jest bardzo wielkie; w pierwszym albo drugim paroksyzmie następuje śmierć, zimnica z nieprzerwaną spiączką najczęściéj bywa u dzieci.

Inny jeszcze rodzaj zimnicy jest wcale różny od wszystkich dotąd wymienionych; jedne są niezupeł-

ne, w których zaczyna się paroksyzm i kończy na samym silnym dreszczu, albo na samym gorącu, albo tylko na potach; w innym razie, a to się zdarza dosyć często, wszystkie trzy główne przemiany, zimna, gorąca i potów, okazują się w przeciwnym porządku, rozpocznie się np. od mocnego gorąca a po niem następuje dreszcz i zimno. Taka zimnica panowała w Warszawie w r. 1700. Bywa też i tak, że wszystkie trzy przemiany nie zjawiają w całem ciele, ale tylko w pewnych jego częściach. Jest także i taki rodzaj zimnicy, w któréj niema wcale opisanych wyżéj przemian, ale się zjawia regularnie co innego; u jednych będzie kaszel, wymioty, mocne pranienie; u innych bóle w rozmaitych częściach ciał albo majaczenie, bezsenność, letarg, rozmaitego rodzaju konwulsje, albo napad apopleksji albo rozmaite krwotoki i t. d. i t. d., a wszystkie tego rodzaju zimnice są bardżo niebezpieczne, i nazywają się *zimnicami zgubnemi ukrytemi*. Do zgubnych jeszcze należą te, w których całe niebezpieczeństwo jest w stronie serca, płuc, lub w organach znajdujących się w brzuchu. W pierwszym razie ból nie do wytrzymania zjawia się w stronie serca, i towarzyszą mu ciągle omdlenia. Jeżeli zimnica jest w płucach, to wszystkie cierpienia zapalenia płuc lub pleury bardzo postępują szybko, brakuje tchu, i chory w najokropniejszéj jest obawie śmierci. Jeżeli choroba usadowi się w brzuchu, to wtedy nieznośny ból dokucza w górnéj jego części t. j. w żołądku, albo też w całym brzuchu; w pierwszym razie, oprócz wielkiego bólu w żołądku, bywają mdłości, wymioty i niezaspokojone pragnienie; przytem chory w niezmiernéj jest obawie; mimo tych cierpień, zimnica tego rodzaju najczęściéj kończy się wyzdrowieniem. W zimnicy brzuchowéj, bóle są nieznośne a przytem *biegunka*, albo taka jak w dyssenterji t. j. w krwawéj biegunce, albo inna podobna do choleryny.

(Dokończenie nastąpi).

Przesadzanie drzew starych w każdéj porze roku.

Z przedmiotów technicznych, zamierzamy podawać do wiadomości czytelników naszych, rzeczy tylko takie, które bez zaprzeczenia w praktyce z pożytkiem zastosowane być mogą. Dziś, kiedy w niejednéj wsi zajdzie potrzeba przebudowywania się na innych osadach, szkoda gdyby poniszczały stare drzewa, ozdobą dawnych posiadłości będące. Do przenoszenia takich drzew, wynaleziono we Francji bardzo praktyczny sposób, który tu podajemy, a zdać się on może na co, nie tylko wiejskim, ale i miejskim czytelnikom naszym, miłującym drzewa, co już dobrą stanowi stronę człowieka.

Jeden lub dwóch ludzi, stosownie do potrzeby, robią okrągły okop szerokości i głębokości proporcjonalnéj do wielkości korzeni i wysokości drzewa, przeznaczonego do przesadzenia. Pozostawia się nietknięta wielką bryłę ziemi wraz z karpą, któréj to bryle daje się kształt głowy cukru przewróconéj. Podczas kiedy jeden człowiek utrzymuje pień drzewa, zwłaszcza naprzeciw wiatru, drugi podkopuje motyką pod spodem, tak aby bryła ziemi od dołu była o ile można najbardziéj spiczastą. Po dokonaniu tego, otacza się ten ostrokrąg długą prostą słomą, kłosami na dół. Słoma ta rozdziela się równo wzdłuż ścian bryły i obwiązuje się ją mocno sznurem z pętelką, co się stosownie do potrzeby w kilku miejscach robi, przez co utworzy się niby kosz słomiany, utrzymujący w kupie ziemię. Po takiem obwiązaniu, dwóch, trzech lub więcéj, stosownie do potrzeby, ludzi — to jest stosownie do wielkości drzewa i ciężaru bryły ziemi, biorą to drzewo i przenoszą ostrożnie na ramionach, lub na wozie w oznaczone miejsce. Po ustawieniu teraz drzewa w poprzednio przygotowanym dole, tak aby ono było obrócone ku północy tą stroną jak przedtem stało, obsypuje się go ziemią i obdeptuje, ubijając palikiem, aby nie pozostały próżne szpary. W ten sposób przesadzone drzewa trzeba obficie podlać, co powtarza się regularnie co parę dni, a nadto co kilka dni, zwłaszcza podczas upałów, skrapiają się, tam gdzie jest, za pomocą sikawki ogrodowéj, liście, dla ich odświeżenia i zapobieżenia, aby nie schły i nie żółkły. Oto jest łaskawi czytelnicy cały sposób postępowania — możemy was sumiennie upewnić, iż gdy tak z całą ścisłością robić będziecie, możecie w każdéj porze roku, wszelkiego rodzaju drzewa choćby i starsze nawet, przenosić z miejsca na miejsce. Abyście rzecz dobrze pojęli, dajemy wam rusunki na 8-éj stronie umieszczone, a sposób przesadzania drzew starych wyjaśniające.

ROZMAITOŚCI.

Grudzień ścisnął łono matki ziemi, śniegiem przyprószył pola i łąki, lodem ściął wody i zamknął wieśniaka w obrębie jego domowego gospodarstwa.—Szczęść Boże tym pracom, które są nagrodą trudów rolnika. Z grudniem nastają też i owe wieczorne niewiast naszych prace, gdzie nić przędziwa, towarzyszy staréj pieśni lub klechdzie z pokolenia na pokolenie opowiadanéj.

Grudzień od najstarożytniejszych czasów, jest miesiącem pełnym tajemnic, a u dawnych naszych przodków Słowian, przed przyjęciem wiary Chrystusa Pana, w grudniu obchodzono uroczyste święta na cześć domowych bożków. Dziś jeszcze wiele przesądów i zwyczajów, od tych chwil przechowało się między ludem wieśniaczym. Wróżby na Śgo Andrzeja i Śtą Katarzynę, a nareszcie dzień wigilijny są tego dowodem. Dzień ten w Słowiańszczyźnie poświęcony był bożkowi Koladzie i kończył się uroczystą ucztą. W wielu okolicach i teraz jeszcze włościanin zastawia potrawę zwaną *Kutią* z pszenicy i miodu. Nazwisko zaś to powstało ztąd, że zastawy mieszczą w rogu izby czyli kącie, gdzie na ścianach wiszą obrazy świętych, bo z wprowadzeniem wiary, lud stare zwyczaje do niéj zastosował. Był także w owych czasach obrządek, iż parobcy oprowadzali po siole tura lub wołu i zabijali go na ucztę wieczorną; w okolicach Krakowa i teraz jeszcze oprowadzają ustrojonego w rogi parobka, co zowie się *turowaniem*.

W niektórych innych stronach, chłopcy wiejscy obwodzą *kozę*, przy odgłosie skocznéj kolędy. Nad wszystkiemi jednak temi prastaremi zwyczajami, góruje radość z narodzenia Chrystusa Pana, któremu u żłobkowéj kołyski lud prosty śpiewa pieśni kolędowe. Łammy się więc chrześciańskim opłatkiem przy odgłosie tych pieśni i przystępujmy do pracy i nowego życia.

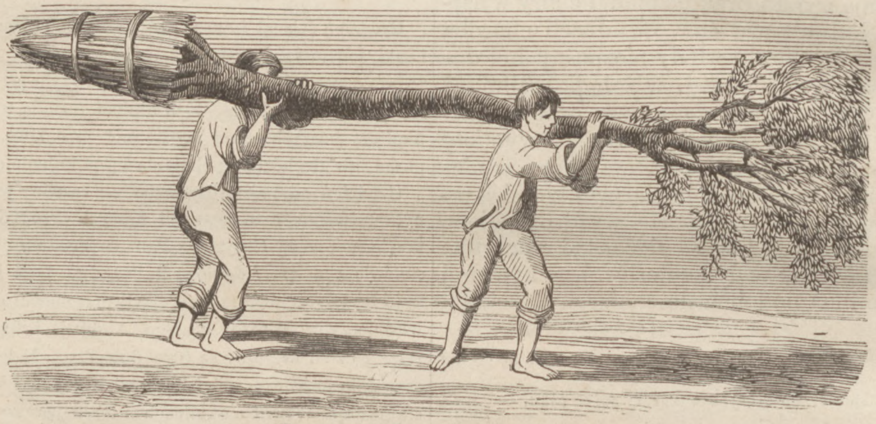
A duża przed nami praca! Gdzie tylko się zwrócim, wszędzie trudy dla uczciwego a rozgarniętego gospodarza wiejskiego; pracujmy jednak ochoczo, bo wszakże to już dziś na swojem pracować będziem, dla siebie i wnuków. O poprawie gospodarstwa gwałtem myśleć należy, bo w takiem opuszczeniu pozostawione, do żebractwa doprowadzić może. Mądrzy ludzie, tak w kraju jak i w obczyźnie, mnóstwo już wymyślili środków, które gospodarzom ich ciężką pracę ułatwiają, przysparzają plonów i korzyści czynią większe. W wielu już okolicach zboża sprzątają żniwiarkami, a tam gdzie tych machin używają, dwór obywa się posługą folwarczną. Przyjdzie czas, że i włościanie, widząc korzyści tych machin, a ciężki znój zbierania sierpem, wspólnemi siłami złożywszy grosz do grosza, zakupią taką machinę i kolejno po swoich poletkach kosić nią będą. W pracy téj Bóg pobłogosławi,

kiedy obok ochoty i wspólności, pozbędzie się włościanin najsmutniejszego swego nałogu pijaństwa, które też dotyka klassy miejskie. W żadnym kraju, gdzie oświata bardziéj posunięta, nałóg ten nie jest upowszechnionym tak jak u nas.



Wykopywanie drzew. — (str. 8).

Wszędzie już wódka została wygnaną, a jéj miejsce zastępuje piwo zdrowe i posilne. Szczególnie w Niemczech picie piwa jest upowszechnione: w Prusach wypada 24 kwart na każdego mieszkańca rocznie, w Bawarij 132 w Saksonji 41, w Wirtembergu 71 i t. d. A u nas rzadko wsi gdzieby dostać szklankę uczciwego piwa. Po miastach rozwielmożnił się przebrzydły bawar, ogłupiający poczciwe głowy naszéj rzemieślniczéj ludności. Zniszczenie mienia, domowéj spokojności, nadwątlenie zdrowia i skrócenie życia, są następstwem nadmiarowego używania tego trunku. Dla bawarji opuszcza rzemieślnik rodzinne ognisko, przystojne towarzystwa i głuchnie na święty głos obowiązku. Są pieniądze



Przenoszenie drzew starych. — (str. 8).

na bawara, ale ich nie ma na pożyteczne wydatki. Z żalem to wytknąć musimy, mając przykład na poparcie. Wiadomo, iż wszyscy rzemieślnicy sedentarni, jako to: krawcy, szewcy, jubilerzy, z powodu siedzenia i braku ruchu, nie mogą rozwinąć swych sił i szwankują na zdrowiu, popadając w liczne im tylko właściwe choroby.

Nauka wynalazła przeciw nim zaradczy środek w ciągłych i stopniowanych ćwiczeniach ciała. Wymyślono nawet osobne przyrządy i sposób ich użycia, co wszystko zowie się gimnastyką. W zachodnich krajach, mianowicie w Niemczech, gimnastyka rozpowszechniła się między ludnością rzemieślniczą, i powstały tam liczne stowarzyszenia tak nazwanych *turnerów*, których członkowie ćwiczą się wzajemnie, a nawet publiczne odbywają popisy. Z Niemiec przeszły te towarzystwa do pobratymców naszych Czechów, i w Pradze powstało stowarzyszenie gimnastyków pod nazwą *Sokoł*. Chciano coś podobnego zrobić i u nas, choć w ograniczonych rozmiarach. P. Majewski posiadający dobrze zaopatrzony zakład gimnastyczny przy ulicy Królewskiéj, ogłosił, iż dla uczni rzemieślniczych otwiera naukę za opłatą 4-ch złotych na kwartał. I czy myślicie dużo korzystało z tego? Nie, w całéj Warszawie znalazło się tylko 9-ciu, którzy pojęli własny swój pożytek. Słyszeliśmy, iż jeden z tutejszych zdolnych rysowników, zamierzał urządzić salę rysunków dla czeladzi rzemieślniczéj tych fachów, dla których rysunek jest podstawą. Naradzał się on z kilkoma zamożniejszemi majstrami tutejszemi, żądając aby mu zapewniono salę i jéj oświetlenie, gdyż lekcje odbywać się miały wieczorem. Mimo tak skromnego żądania, gdyż pracę i trudy własne ofiarował bezinteresownie, projekt nie mógł przyjść do skutku. Za granicą dziś już niemal każde miasteczko posiada dobrze urządzoną salę rysunku i ornamentury. W Paryżu istnieje już od lat kilku wiele szkół przez prywatne stowarzyszenie założonych, gdzie przygotowują zdolnych rysowników dla stolarzy, ramiarzy, rzeźbiarzy na drzewie, drzeworytników i rytowników na metalach.



Przesadzanie drzew. — (str. 8).
(Rysował Ceglinski — wycięto w drzeworytni Stiflego i Regulskiego).

Nawet w szkołach tych istnieją oddziały dla dziewcząt pragnących się poświęcić tym lekkim, a korzystnem rzemiosłom. Nauka rysunku jest tam główną i zasadniczą, dla tego też wyroby francuzkie odznaczają się dobrym smakiem i wytworną powierzchownością. O zakładach angielskich tego rodzaju pomówiemy przy innéj sposobności. Wspomniemy tu zaś tylko, iż w Wiedniu powstał w roku zeszłym instytut i muzeum rzemiosł. Rysunki, modele, ornamenta, narzędzia, machiny, różnego rodzaju rozłożone są przed oczyma kształcących się rzemieślników, którzy z wielką ochotą zapełniają obszerne sale tego przybytku rzemiosł i sztuk zastosowanych.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 21 Grudnia (2 Stycznia) 186$^4/_5$ r.